

Najśw. Marya Panna Wspomożenia (Maria Sorg) koło Salzburga.
Siedziba Sodalicyi św. Piotra Klawera.

WIZYTACYA PASTERSKA

(przez X. Biskupa Delalle, O. M. I., Wikaryusza apost. Natalu).

Kraj, w którym odbywałem wizytacyę, należy do wikaryatu Natalu, a nazywa się krajem kafrów. Jest to olbrzymie terytoryum, zamieszkane przez ludność należącą do rozmaitych plemion i dochodzącą wyżej miliona głów. I tak: plemię Basutów zamieszkuje północno-zachodnią część kraju, plemię Bakasów część nieco bardziej na wschód wysuniętą, plemię Pondosów wybrzeże oceanu Indyjskiego, a plemię Jembus południową część kraju. Z wyjątkiem Buszmenów i Hotentotów niema na południu Afryki plemion żyjących w głębszej nędzy i bardziej pozbawionych wszelkiej moralności, jak plemiona Pondosów i Jembusów. Roi się od nich w dolinach i na zboczach wzgórz, i na tysiące liczyć można ich chaty, grupujące się w malownicze, lecz pozbawione urozmaicenia wioski, nigdzie bowiem niema drzew, coby zielonością swoją przerwały nużącą jednostajność krajobrazu. Ludność tę nazywają także

„czerwonymi kaframi“, a to z powodu czerwonej barwy szmatu materyi, jaką się okrywają, często nawet twarz i ciało malują sobie krajowcy tamtejsi tą samą barwą.

O jakiemż olbrzymiem polem pracy dla misyonarzy byłby kraj ten ze swą ludnością, nie znającą Boga! Lecz, niestety! uprzedziły nas tu najrozmaitsze sekty protestanckie, zakorzeniły się głęboko, i niema już miejsca dla nas na widowni. Zaprowadzono tu prawo, mocą którego nie wolno zakładać nowej szkoły w odległości mniejszej, jak cztery mile od istniejącej już poprzednio, a protestanci mają wszędzie tutaj swe szkoły! I jeszcze, gdybyż starali się oni przynajmniej podnieść nieco dusze tych kafrów, których przyciągają do siebie! Ale gdzież tam! Po większej części nie nauczają ich wcale, a pojęcie o chrześcijaństwie w ten ciemny lud wszczepiane, ogranicza się do ubioru na modę europejską i śpiewie kilku pieśni. W ten sposób, ci niby misyonarze, (a przynajmniej większa ich część), zamiast działalnością swą przygotować dusze na posiew prawdziwej wiary, czynią dzikiego chrześcijanina przedmiotem wzgardy tak dla białych, jak i pogan. Z czasem może, gdy Bóg ześle nam obfitsze zasiłki i liczniejszych kapłanów, będziemy w stanie zarzucić tam sieci słowa Bożego. Na razie nie pozostaje nam nic, jak tylko modlić się i zdać wszelką działalność w tym kraju na łaskę Opatrzności.

Jedynie wśród plemienia Basutów mamy kilka, i to nawet kwitnących misyj; wśród reszty tych plemion posiadamy tylko jedną, i ta jeszcze jakiż zniechęcający przedstawia obraz! Zwiedziłem i tę misyę w czasie mej wizytacyi.

Wizytacya ta była ciężką i bardzo długą podróżą: 1200 kilometrów na wózku o dwóch kołach, po takich drogach, że z wyjątkiem Afrykanina, niktby się nie odważył. Trzeba było drapać się na góry, spuszczać się z nich po prostopadłych niemal zboczach, dzień i noc być pod gołem niebem i ciągle w ruchu pomimo prażących promieni słońca, lub potoków deszczu, a nawet czasem śniegu, a do tego narażać się na uszkodzenie wózka o 80 kilometrów od wszelkiej możliwości naprawy! Ale Anioł Stróż misyonarza czuwał nad nami, a dzięki sprawności i przezorności mego woźnicy, W. O. Le Bras, cała podróż odbyła się szczęśliwie, i oto znów jestem z powrotem w Natalu, nie uległszy żadnemu wypadkowi.

Tak więc w objeździe moim odwiedziłem misyę w Keilands. Misya ta znajduje się po drugiej stronie rzeki Kei, a więc należy już do sąsiedniego wikaryatu. Ale krajowcy mieszkają jeszcze w moim wikaryacie, skutkiem czego Ojciec, któremu powierzona jest ta misya, musi codziennie przebywać rzekę, aby dostać się do tych biednych czarnych. W zimie nie przedstawia to trudności, ale gdy nadchodzi pora deszczowa, rzeka wzbiera i znosi wszystko, co napotka w swym biegu,

przy każdej też przeprawie na drugi jej brzeg Misyonarz naraża życie. Misya ta ma dwie filie w moim wikaryacie: w Saliewie i w Sigudu, gdzie od dziesięciu lat misyonarz nie szczędzi wysiłków dla nawrócenia dusz. Biedny Ojciec! Od dziesięciu lat pracując w Sigudu, nie zdołał dotąd pozyskać ani jednej duszy dla Boga! Ale trudy jego nie pójdą na marne, we łzach rzuca on tam nasienie słowa Bożego, z którego komu innemu danem będzie kiedyś w radości zbierać obfite plony! Udało mu się zdobyć na protestantach szkołę, spodziewać się więc można, że tą drogą poruszy nieco ogół, a uczniowie tej szkoły będą rozczyną wiary św., która stopniowo podniesie masy. Nadzieja ta podtrzymuje odwagę misyonarza, bo dotąd ludzie ci nieszczęśni tak głęboko tkwią w swem zepsuciu, że nawet w godzinie śmierci nie chcą zwrócić się do Boga.

W porównaniu do Sigudu, można powiedzieć, że Saliewa jest rajem; znajduje się tam gromadka pobożnych wiernych, niejako jądro chrześcijaństwa w tych stronach; gromadka ta jest zawsze spragniona słowa Bożego i łaknąca pokarmu św. Eucharystyi. O jakąż to było radością dla mnie, gdy zobaczyłem tych dobrych i dzielnych murzynów! Właśnie na dwa dni przed moim przyjazdem, naczelnik Saliewy, podeszły już w latach człowiek, zeszedł z tego świata w kilka godzin po przyjęciu Chrztu św. Przed śmiercią powiadomił wszystkich o swem nawróceniu i wyznał publicznie swą wiarę, następnie wydał rozporządzenie, aby nie mięszano żadnych obrzędów pogańskich do obchodu jego pogrzebu. Nie było wtedy na miejscu kapłana, któryby przewodniczył ceremonii pogrzebowej, to też po odprawieniu Mszy św. i udzieleniu Komunii św. wiernym, poświęciłem grób jego. Korzystając z tej sposobności, zwróciłem się w przemówieniu do obecnych, starając się nadać słowom moim jak najbardziej przekonywującą siłę; jestem też pewny, że przykład poważnego wiekiem i nader wysoko cenionego naczelnika, podziała zbawiennie na sumienia jego pogańskich poddanych. Ten maleńki zastęp wiernych w Saliewie, osamotniony wśród całej masy otaczających go zewsząd pogan, stanie się owem ziarnem gorczycznem, które zeszedłszy rozrośnie się w potężne drzewo.

Oby modły św. Piotra Klawera i hojność ludzi, spragnionych rozszerzenia królestwa Bożego na ziemi, pomogły nam w ratunku tych biednych dusz, spaczonych namiętnościami wprawdzie i pogrążonych w ciemnocie, ale nie mniej stworzonych na obraz Stwórcy i odkupionych Męką Zbawiciela.

Korespondencya misyjna.

RODEZYA.

Wycieczki apostolskie.

Czcigodny Rodak nasz z Rodezyi, O. Jan Lazarewicz T. J., odzywa się znowu do Szan. Czytelników »Echa« i przesuwa przed nimi obrazki ze swych podróży, dla pozyskania dusz, przedsiębranych. Ceną to takich znojów i trudów usiłują Misyonarze pozyskać dla Wiary św. pogan: to — *ich* cząstka, lecz do uwieńczenia dzieła braknie jeszcze — *naszej.*

Rzym już zatwierdził naszą nową misyę na terytoryum angielskiem i zezwolił na założenie domu misyjnego w Lufunsy (a względnie Katondue). Od dwóch miesięcy jestem sam w Katondue. O. Moskop wrócił do Miruru, gdyż tam jest potrzebny dla pastoracyi w wioskach chrześcijańskich. Wykarczowałem już las koło domu, palę krzewy i krzaki cierniste z pomocą murzynów, by przygotować teren dla założenia na wiosnę ogrodu. Przytem pragnę otworzyć tu szkołę.

Z dwoma murzynami, 6 listopada, udałem się do najbliższej wioski Tamboa (o pół godziny drogi). Wyszedł z chaty „mfumu", (naczelnik wioski), zbliżył się do mnie, szurając nogami po ziemi (jest to oznaka przywitania). Powiedziałem mu: „Mfumu dobry, przyszedłem was odwiedzić. Jestem sługą Bożym i przyjacielem waszym. Bóg mię do was posłał, abym was uczył. Giniecie i dzieci wasze giną. Biedni jesteście i dzieci wasze są biedne. Nie umiecie pisać, ani czytać. Nie wiecie kto stworzył słońce to piękne i te gwiazdy świetliste, i wody i lasy. Nie wiecie, gdzie jest Bóg, Pan nasz i Ojciec nasz! Pojutrze otwieram szkołę w Katondue, wysyłajcie dzieci wasze do szkoły."

Odpowiedział mi, że dzieci wszystkie będzie tam posyłać.

Następnego dnia poszedłem do dwóch dalszych wiosek: Changue i Kalimangombe z tą samą prośbą. Naczelnicy tych wiosek chętnie to samo mi przyrzekli. Dzieci przychodzą do Katondue dość licznie. W szkole uczę ich czytania, katechizmu, pisania i śpiewu. Po kilku dniach lekcyi, same już poczęły śpiewać:

Oh! dzani Jesu uadidisa!
Dzani, Muana ua Murungu!
Pansi panidikira Imue,
Imue Mbuia nadidisa!

W przekładzie:

O! przyjdź Jezu Najłaskawszy!
Przyjdź Synu Boży!
Ziemia cała oczekuje Ciebie,
Ty, Panie Najdobrotliwszy!

Pieśń ta tęskna z ust pierwszych szkolnych tych czarnych dzieci, płynęła ku niebu i zdawało mi się, że ten Pan Najdobrotliwszy jest blisko swych dziatek, wołających do Niego z cienia śmierci i nocy pogaństwa.

Co do stawiania szkół w wioskach pogańskich, angielski rząd nie czyni żadnych trudności, ale rządowy regulamin szkolny, dla łatwiejszego rozwoju prac misyjnych, nie jest zbyt dogodnym. W tej sprawie niedawno otrzymaliśmy z Feiry pismo tej treści:

„Zakładaniu szkół w misyach rząd nie stawi żadnych trudności, ale chcąc na to otrzymać formalne zezwolenie, musi przełożony wioski stawić się osobiście w Feirze i wyrazić swe życzenie, że chce mieć szkołę, nadto nauczycielami w szkołach mogą być tylko czarni, i ci muszą się w Feirze przedstawić.“

Obecnie przy nadeszłej już porze deszczowej nie można szkół budować, na wiosnę dopiero, (w maju, lub czerwcu), możemy przystąpić do tego dzieła. Chcąc jednak przygotować pola pracy, dnia 15 listopada wybrałem się z trzema murzynami do wsi Moawi, odległej o $1\frac{1}{2}$ godziny drogi. Naczelnik tej wioski przyjął mię życzliwie, chce mieć szkołę i oświadczył mi, że sam przyjdzie do Katondue, by zobaczyć szkołę i przysłuchać się nauce.

Z Moawi udałem się do wsi Membe, odległej o pół godziny drogi. Mambo, (król tej wioski), przyjął mię ciepło i gościnnie, i również pragnie mieć szkołę. Jako prezent ofiarował mi duży dzban „bwadwa“ (jest to napój kwaskowaty), postawił na ziemi, usiadł sam, a dokoła niego usiadło na ziemi 14 dorosłych murzynów. Wszyscy obdzieleni zostali tym nektarem.

Dnia 25 listopada, o wschodzie słońca, wziąłem dużą laskę do ręki, wdziałem białą sutannę i biały kapelusz na głowę, na prawym boku zawiesiłem browning (dla ewentualnej obrony przeciw lwom), na lewym zaś za przepaskę rzemienną wetknąłem swój najdroższy sztandar: „krzyżyk“, z którym wszędzie idę i walczę. Tak uzbrojony wyruszyłem z trzema murzynami w górę rzeki Loangwy, do miejscowości Kaunga, odległej o pięć godzin drogi, gdzie miało być wielu pogan. Po dwugodzinnym marszu stanęliśmy w Moawi nad rzeką Ulungu, gdzie odpoczywaliśmy prawie dwie godziny, by nabyć sił do dalszej trzygodzinnej wędrówki. Następnie wyruszyliśmy naprzód; przechodziliśmy dzikie lasy, rozległe wyschłe moczary — szliśmy w samo południe, żar słońca przenikał sutannę i kości, zalewałem się potem, słabnąłem na siłach. Doszedłszy do pierwszego cienistego drzewa, pod którym odpocząłem kwadrans, puściłem się dalej. Po 20 minutach zbliżyliśmy się do pierwszej wioski, Nyamumba, w miejscowości Kaunga. Posłałem natychmiast murzyna do chaty, by przyniósł mi wody. Piersi mi wyschły, język wysechł, czułem ogromne pragnienie. Po chwili

przyszedł „mfumu“ tej wioski, a z nim 20 murzynów. Wiadomość o założeniu szkoły przyjął z zadowoleniem i prosił mię, bym przyjął „sagwati“ (podarek). I owszem, powiedziałem. — Wkrótce przyniesiono duży dzban „bwadwa“, które poleciłem rozdać murzynom. Odchodząc ofiarowałem mu sztukę płótna; przyjął ją z uśmiechem. Po godzinnym wypoczynku dałem hasło do dalszej podróży: „tiyeni!“ (idźmy)! Do naczelnego wodza tego okręgu miałem jeszcze przeszło dwie godziny drogi. Budowa szkół od jego woli przedewszystkiem zawisła. Po drodze napotkałem wioski: Chikoka, Nyamankharo, wielką wieś Pinkula, Chiwera. Tutaj rzeka Loangwa tworzy półkole i piękny roztacza się widok na pobliskie góry. Do wioski Chiwera przyszedłem o godzinie 4 po południu. Do naczelnego wodza Mpona pozostawało mi jeszcze godzinę drogi, ale naprzód absolutnie iść nie mogłem, czując się mocno osłabionym. Kazałem zawołać „mfumu“ i poprosiłem go o jaką chatę na nocleg dla mnie i moich ludzi. Po dłuższej chwili wraca „mfumu“ i prowadzi mię do pustej chaty. Chata zwykła murzyńska, niska i mała, w środku na ziemi leżał popiół i niedopalony drąg, na górze pod dachem wisiało kilka dużych nadętych pęcherzów, które murzyni przywiązują zmarłym do szyi. Wieczorem zerwał się gwałtowny wicher, czarne ołowiane chmury wysunęły się z za gór — powstały grzmoty — ulewa. Do wnętrza chaty lała się woda przez dziurawy dach, ratowałem się parasolem, który z sobą na szczęście wziąłem. Nazajutrz wczesnym rankiem udałem się do naczelnego wodza Mpona. Mambo (t. j. król) Mpona z radością przyjął projekt stawiania szkół w swoim okręgu, ofiarował mi kurę jako prezent i murzyn jeden ze starszych jego rodziny, daleko odprowadził nas na drożynę leśną, wskazując drogę.

Dnia 30 listopada odbyłem drugą apostolską wycieczkę w kierunku ujścia Loangwy, aż do Lufunsy Z trzema murzynami wyruszyłem rano o godzinie $6^1/_2$ z Katondue. Uszedłszy $1^1/_2$ godziny drogi, napotkałem wioskę Chiosiongomoka i w pobliżu leżących pięć innych wiosek. Następnie przeszedłem wioski: Pamangaua, Pampota, Chikawuzia, Luteta, Mupingo, Kaczeneka, Nyakuinde, Chirongolo, wielką wieś Kapoche i sąsiednie jej trzy inne wioski, wśród których nasi Ojcowie z Miruru postawili chatę podczas owej pamiętnej zeszłorocznej ucieczki. Do Lufunsy przybyłem o godzinie 2-ej po południu bardzo osłabiony i z sił wyczerpany, gdyż musiałem iść siedem godzin pieszo i to w południe pod zenitem słońca.

Od Lufunsy zatem aż do okręgu Kaunga, na przestrzeni jedenastu godzin drogi pieszo, leży rozsianych 36 wiosek pogańskich. Po upływie pory deszczowej, pragniemy na wiosnę w tych wioskach liczne budować szkoły, sprowadzić katechistów, pragniemy rozwinąć sztandar Chrystusowy nad brzegami

Loangwy i pod ten znak zbawienia gromadzić najpierw dzieci, a za ich przykładem pociągnąć i starszych, bo łaska Boża silna i potężna, najtwardsze kruszy serca.

Do przeprowadzenia tego dzieła Bożego prosimy Przezacnych Prenumeratorów i Prenumeratorki „Echa“ o modlitwy gorące, by ulitował się Pan nad tym ludem, od dwóch tysięcy lat ginącym w mrokach pogaństwa i prosimy o łaskawą pomoc.

MISYA DLA DZIEWCZĄT W LOANGO.

(Kongo francuskie).

Oto co nam pisze S. Hieronima, ze Zgromadzenia Sióstr pod wezwaniem Matki Boskiej, Królowej Apostołów:

„Zadanie nasze ciężkie, ale dzieło tu podjęte jest wielkie, chociaż dotąd rozgłosu nie miało. Byłoby rzeczą niepodobną bez wyraźnej pomocy Boskiej uczynienie kobiet tego królestwa szatana chrześcijankami. W kraju tym najdzikszym i najniżej stojącym ze wszystkich, jakie istnieją na kuli ziemskiej, (a mogę o tem mówić, gdyż zwiedziłam pięć części świata), biedne te stworzenia uważane są za niewolnice, co wydaje się tem dziwniejszem, że one to właśnie panują tutaj pod władzą szatana; a proszę mi wierzyć, że poddanych swoich władca ten trzyma krótko. Dlatego też wściekłość jego zwraca się przeciw naszej instytucyi wychowawczej, wie bowiem, że skoro te dziewczęta, które zazwyczaj są tutaj powodem tylu bezeceństw, staną się chrześcijankami, władza jego upadnie; chce więc zniweczyć nasze dzieło, i z zaciekłością nie do uwierzenia, zewsząd szturm doń przypuszcza. Kobiety są jedynem bogactwem tego kraju: są one niejako monetą, mającą obieg tutaj; porządek społeczny jest zupełnie przewrócony: one to spełniają wszelkie prace, przypadające gdzieindziej w udziale mężczyznom. Nie potrzeba im głębokiej nauki, poza znajomością i miłością Boga, czułyby się i one dziećmi Bożemi. Nieszczęsne te stworzenia są tutaj przedmiotem ohydnego handlu; cena ich jest bardzo wysoka; wiano przynosi tu mężczyzna, a składa się ono z pieniędzy, tkanin, soli i z rądli; te ostatnie są przedmiotem wielkiej wagi i muszą być najrozmaitszego kalibru; nie obejdzie się przytem bez znacznej ilości butelek wódki z trzciny cukrowej. Prawie wszyscy mężczyźni tutejsi, wyjąwszy kilku chrześcijan, mają po kilka żon, naczelnicy zaś mają ich znaczną ilość. Kiedy dziewczynka przestaje być dzieckiem, starsi, a przedewszystkiem fetyszyści i fetyszystki zmuszają je, aby odbyła to, co nazywają tu „kikommbi“; jeżeli zaś nie chce im być powolną, grożą jej trucizną. (Mieszkańcy tutejsi są bardzo biegli w znajomości

i używaniu trucizn; z niesłychaną łatwością pozbywają się za ich pomocą każdego, kto im zawadza, w jakikolwiek sposób; częstokroć dla błahego powodu trują się nawzajem, a szczególniej nie wahają się skracać za pomocą trucizny życia chorym, dla których nie mają żadnej litości).

W ten sposób więc dziewczęta tutejsze pozostają przez sześć miesięcy, częstokroć nawet dłużej, jakoby w nowicyacie występku. Wyrwanie tych nieszczęsnych istot z mocy szatana choćby ceną największych wysiłków: oto co postawiłyśmy sobie za zadanie. Ale ileż przeszkód, ile trudności bez końca trzeba nam zwalczyć, zanim uda się nam dostać je w nasze posiadanie. Aby dotrzeć do nich, musimy przebywać moczary, ziejące zatrutem powietrzem wokoło i na których gnieździ się niebezpieczna mucha, roznosicielka choroby snu, tyle ofiar pochłaniająca w tej okolicy Konga, gdzie nawet zwierzęta zapadają na tę straszną chorobę. Dopiero po długich układach i gdy wręczymy najrozmaitsze podarki rodzicom, którym bardziej idzie o córki, niż o źrenicę własnych oczu, wolno nam zabrać je z sobą. Co do chłopców, nie czyniliby tyle trudności, ale dziewczęta przedstawiają dla nich główną wartość, to też oddają nam je ogołocone ze wszystkiego; gdy przychodzą do nas, pokryte są zwykle robactwem, kleszczami i t. d. Zmuszone jesteśmy dostarczyć im wszystkich niezbędnych rzeczy. Często jeszcze jako podziękowanie otrzymujemy od nich obelgi, będące, jak i to wszystko, w przekonaniu misyonarzy, cennemi perłami. Największą boleścią naszą jest to, że nie możemy pozyskać więcej dusz dla Jezusa Chrystusa. Staje temu na przeszkodzie brak środków materyalnych. Gdybyśmy mogły czynić wycieczki w głąb kraju, łatwiejby nam było stamtąd dostawać dzieci na wychowanie. Ale, niestety, pustki w naszej kasie nie pozwalają na wydatki, z którymi takie podróże są połączone. Wynajęcie tragarzy do przenoszenia nas jest więc niedostępnem, a niepodobna wędrować pieszo przez moczary, których tu tak wiele i do tego głębokich, podczas gdy w lasach grozi niebezpieczeństwo spotkań z gorylami. Niema tu dróg, komunikacya odbywa się po ścieżkach wśród traw niezwykle wysokich i rojących się od najrozmaitszych gatunków jadowitych węży. Na każdym więc kroku grozi nam niebezpieczeństwo życia. Ale wszystko to byłoby niczem, gdybyśmy miały środki na to, co potrzebne. Potrzebujemy kaplicy i chaty, w którejbyśmy mogły pomieścić nasze katechumenki, a niepodobieństwem jest dla nas uczynienie tak wielkiego wydatku. Cała nasza nadzieja w tem, że znajdą się serca, bliźnich swych kochające i ożywione pragnieniem zapoznania ich z Boską nauką Jezusa Chrystusa, które przyjdą nam w pomoc.

MISYA WŚRÓD SOMALISÓW.

Mgr Jarosseau, Najprzew. Wikaryusz apostolski kraju Gallasów, pisze co następuje do naszej generalnej Kierowniczki:

„Mam zaszczyt donieść z radością Czcigodnej Pani, że dla misyi katolickiej wśród Somalisów, którą tak żywo zajmowała się Pani zawsze, zajaśniała nareszcie nadzieja lepszych dni.

Oto misyę tę poprzednio założoną w Berberze i Shimberialeh w Somalilandzie angielskim, oddaje obecnie w mój zarząd Jego Em. Kardynał J. Gotti, Prefekt Propagandy, listem z dnia 11 grudnia 1911 r.

Czuję się w obowiązku donieść Czcigodnej Pani, że na mocy praw mi nadanych, zamianowałem W. O. Adolfa de Lavalla przełożonym tej misyi wśród Somalisów. Jemu to odtąd doręczane będą wszystkie listy, dokumenty i jałmużny, jakie macierzyńskie serce Pani udzieli w przyszłości tej misyi, położonej wśród pustyni, a tak godnej zajęcia i poparcia.“

KOŚCIÓŁ W AFRYCE.

W r. 1882 liczono na wybrzeżach Afryki osiem centrów ewangelizacyjnych, czyli misyj, i siedem na okolicznych wyspach. Nie biorąc w rachubę Egiptu, było wówczas zaledwie 200 księży katolickich na kontynencie.

* * *

Teraz zaś, w r. 1912 jest w Afryce 85 dyecezyj, wikaryatów, albo prefektur apostolskich i **3.400** misyonarzy katolickich. Wśród tego duchowieństwa znajdują się przedstawiciele 23 Kongregacyj zakonnych.

* * *

Według ostatnich spisów (z r. 1911), ludność katolicka w Afryce wynosi 3,742.000 dusz na 165,000.000 prawie mieszkańców.

Drobne wiadomości misyjne.

Misya wśród Sahary. Oto dokładne wiadomości, których udziela nam W. O. Bardou, ze Zgromadzenia Ojców Białych: „Olbrzymie to terytoryum, zajmujące całe południe Tunisu, Algieru i Marokka, a którego powierzchnia wynosi 3,000.000 km. kw., dorównywa wielkością niemal trzeciej części Europy.

Aby krzewić Ewangelię św. na tem olbrzymiem polu, mamy zaledwie 12 Ojców, 2 Braci i 6 Sióstr, rozdzielonych na 3 stacye: Ghardaję, Uarglę i El Goleę, t. j. na trzy ważne centra Sahary. Ghardaja liczy 25.000 mieszkańców, Uargla 15.000, a El Golea 5.000. Prócz mieszkańców tych trzech oaz, Sahara ma jeszcze 150.000 Arabów, półmurzynów i murzynów, ale ci albo gromadzą się w małych osadach, albo też są rozproszeni, prowadząc życie koczownicze. Nie należy też zapominać i o tysiącu mniej więcej Europejczyków, składającym się z urzędników, wojskowych, kolonistów i handlarzy. Liczba więc ogólna ludności dochodzi mniej więcej do 200.000 mieszkańców.

Co do klimatu, to, jeśli w zimie jest on dość łagodny, w lecie temperatura często dochodzi do 50° w cieniu, a trzy miesiące w roku, to jest czerwiec, lipiec i sierpień, są bardzo wyczerpujące. Pożywienie jest nader proste, składa się z daktyli, suszonych jarzyn, a często z mięsa wielbłądziego. Z wyjątkiem palm, nic, albo prawie nic, nie rośnie tu na miejscu. Ale drobne utrudnienia w życiu materyalnem nie przerażają nas wcale.“

Dzieje się to dlatego, że ci bohaterowie Chrystusowi mają na celu tylko zbawienie nieśmiertelnych dusz ludzkich, a nie zysk żaden, ani swój własny dobrobyt.

W. O. Le Scao pisze z Kakamoeki: „Chrztu św. udzieliliśmy obecnie 110 osobom, a 56 pierwszej Komunii świętej. Mamy dwie rodziny chrześcijańskie. Tak więc pochodnia Wiary św. została tu już zapalona; módlcie się, aby światło jej gorzało coraz silniej. Przyznaję, że to, co osiągnęliśmy dotąd, nieznacznem jest jako rezultat trzechletnich wysiłków. Ale należy liczyć się z okolicznościami; dzieci mamy tylko z najbliższej okolicy i to jeszcze połowę tygodnia spędzają w domu u swych rodziców, bo nie posiadamy środków, aby żywić je u siebie, ani aby ściągać je z dalszych okolic; — potem choroby: w czerwcu 1910 r. nie byłem zdolny do niczego, w tym zaś roku od maja do lipca, ledwo że się wlokłem; mój towarzysz, O. Murard, dwa tygodnie, jak złamał nogę w miejscowości odległej stąd o trzy dni drogi; oto teraz kuruje się w Loango. Czas płynie i płynie, a szatan nie przestaje nam czynić na przekór... bogaci zajęci tylko swemi błahemi rozrywkami....... W Europie **nikt** nie pomyśli nawet, że tylu misyonarzy cierpi pośród pogan i, nie mając środków na poparcie swoich przedsięwzięć, musi patrzeć na to, jak miliony dusz idą na zatracenie i widzieć własną swą bezsilność wobec tego.“

Wiadomości ze Św. Kongregacyi Rozkrzewienia Wiary.

Dekretem z dnia 1 marca Św. Kongregacya Rozkrzewienia Wiary mianowała W. O. Ferdynanda Terrien, ze Stow. Misyonarzy Lyońskich, Wikaryuszem apostolskim Beninu (Wybrzeża Beninu) w Afryce zachodniej; dekretem zaś z maja, taż Św. Kongregacya naznaczyła W. O. Biermans'a, ze Stow. Misyonarzy św. Józefa z Mill-Hill, na Wikaryusza ap. półn. Nilu, Ugandy, (z powodu zrzeczenia się Mgra Hanlon).

II. KONGRES SODALICYI Św. PIOTRA KLAWERA
w EINSIEDELN (SZWAJCARYA).
(27—31 sierpnia).

Członkowie eksterniści i eksternistki, zelatorzy i zelatorki najusilniej są proszeni o wzięcie udziału w tym kongresie. Trzy zebrania zelatorów i trzy zgromadzenia publiczne objęte są programem. Przew. Opat z Einsiedeln, Dr Tomasz Bossart, O. S. B., raczył podjąć się protektoratu kongresu, oraz mowy go zamykającej. Jego Kr. M. Książe Maksymilian Saski, W. O. Volbert S. J., Przew. Kanonik hr. Ledóchowski, jako też inni przedstawiciele Czcig. Duchowieństwa obiecali swój współudział. Już 200 zelatorów ofiarowało się przybyć, ale mamy uzasadnioną nadzieję, że liczba ta podwoi się, a nawet potroi. Człokowie raczą się zgłaszać do komitetu kongresu w Zugu (Szwajcarya) ul. Św. Oswalda 15. (Wstęp dla zelatorów bezpłatny, dla osób postronnych 3 franki).

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Rzym. *20 maja, w poniedziałek,* miałyśmy zaszczyt powitać JE. Mgra Roelens'a, ze Zgromadzenia Ojców Białych, Wikaryusza apost. Górnego Kongo, bawiącego już od dłuższego czasu w Europie z powodu złego stanu zdrowia.

29 maja. — Nasza gener. Kierowniczka przyjęła wizytę W. O. Heintz'a, Redemptorysty, Prefekta ap. Matadi (Kongo belg.), któremu towarzyszył jeden z Ojców Domu głównego w Rzymie. Dotąd OO. Redemptoryści należeli do tej niewielkiej ilości Kongregacyj Misyonarzy afrykańskich, co nie zawiązali stosunków z Sodalicyą. Odwiedziny te sprawiły tem większą radość hr. Ledóchowskiej, że dają jej możność przyjścia z pomocą w Afryce Zakonowi, od którego Sodalicya otrzymuje stale tyle dowodów życzliwości.

5 czerwca. — Wyjazd naszej gener. Kierowniczki, udającej się, jak i lat poprzednich, w podróż w celach propagandy, przez Włochy, potem Szwajcaryę, dla przygotowania kongresu w Einsiedeln.

8 czerwca. — Odwiedziny X. Biskupa Coll'a, ze Zgrom. Synów Niepok. Serca Maryi, Wikaryusza ap. Fernando Po.

Z wędrówki „Echa z Afryki“ po świecie.

Fakt z życia i gorąca prośba.

Niebieskie zeszyty *Echa,* w dziewięciu językach wychodzącego, padają w różnych punktach ziemi; jeden z nich trafił w góry na zachodzie Europy, do kraju, gdzie religia prześladowana — i znalazł się pod dachem bardzo ubogiej robotnicy. Praca w polu, lub dorabienie łańcuszków do różańców, nędznego dostarcza jej utrzymania, dostaje bowiem około 15 groszy za cały tuzin tych koronek. Siedząc przy pracy do północy, w zimie, okrywa się kołdrą swoją, gdyż stać ją na ubranie tylko najniezbędniejsze, lecz błogosławi Boga w swym niedostatku. Straciła wszystkich bliskich, mieszka sama w swej chatce „pod okiem Bożem“, a raczej ma jedną towarzyszkę i żywicielkę — jest nią koza.

I wiecie, Czytelnicy kochani, co to życie opromienia? Usiłowanie *szerzenia z daleka wiary wśród pogan!* Na cel ten z ubóstwa swego składa około 3 franków rocznie. „Kocham Boga — pisze w jednym ze swych listów — to — moje bogactwo. Na świecie jedno jest zło, które złem nazwać można — to grzech.“ Przed świtem idzie, wśród wyrw i śniegu w górach, do oddalonego o dobrą godzinę drogi, kościoła: „Dzień bez chleba i dzień bez Mszy św., to — dla mnie jedno i to samo“ — mówi. Dusza, co kosztem takich ofiar, słucha Mszy św., co tak pojmuje jej doniosłość, nie mogła przyjąć obojętnie wiadomości o naszym *„Związku mszalnym“,* zapragnęła też zaraz zostać jego uczestniczką, wpisując nadto zmarłych swych rodziców, „choćby się przyszło wyrzec chleba czarnego.“ I w istocie przekaz pocztowy przyniósł nam 3 franki, od ust może odjęte.... *Echo* posyłamy jej bezpłatnie — skądżeby wzięła na to? Przeczytała w niem, że Sodalicya przyjmuje nietylko pieniądze, ale i *rzeczy,* a nawet *przedmioty najdrobniejsze.* Dowiedziawszy się o tem, kreśli następujące słowa: „Ubóstwo moje zbyt jest wielkie, bym mogła złożyć dar, coby odpowiedział memu sercu. Mam malutki łańcuszek srebrny od zegarka, który należał do mojej dobrej, pobożnej matki, oddaję go Wam i posyłam. Jest to grosz wdowi niewiasty z Ewangelii...“

Czytelnicy kochani, jak też zaważy na szali wyroków Bożych ten łańcuszek?...

. . . .

A teraz prośba.

I w naszej Ojczyźnie dużo jest poświęcenia, i u nas są dusze podobne, ale znajdzie się ich więcej, jeżeli każdy z Was dołoży starań, by *Echo z Afryki* jak najbardziej rozpowszechnić. Dopomóżcie nam, Czytelnicy drodzy, postarajcie się, aby *Echo* w każdym katolickim znalazło się domu i to nie na stole tylko, ale w rękach domowników, a pewno niejeden nie oprze się błaganiu tych czarnych pogan o pomoc duchowną, której misyonarze, dla braku grosza, odmawiać muszą.

„Chcemy wierzyć!...“ „Chcemy poznać Boga!“ „Zostańcie z nami!...“ i to nie w jednym, nie w dwóch punktach, ale w różnych stronach Afryki daje się słyszeć, a misyonarz, z sercem rozdartem, tego głodu dusz, bez środków, zaspokoić nie jest w stanie....

Nie mielibyśmy mu dopomódz?... Rozpowszechniajmy więc *Echo*, pozyskujmy nowych prenumeratorów *), weźmy na siebie trud przesyłania prenumerat (pieniędzy i adresów do administracyi *Echa*). Niech gorliwość nasza o rozszerzenie Kościoła św. wśród pogan wyjedna łaskę wiary dla dzieci naszych,dla naszej młodzieży, dla Ojczyzny całej.

To nasza prośba, Czytelnicy kochani, prośba nagląca, której wyniki błogosławione w waszej są mocy.

---

*) Kto życzy numerów okazowych do rozdania, otrzyma bezpłatnie z *Administracyi „Echa z Afryki“ Kraków, ul. św. Anny 4.*

ODCINEK.

DOBRY DYZMA

przez O. Adolfa, Kapucyna.

(Dokończenie).

Znajomy mnie urzędnik przy telegrafie, chrześcijanin, dowiaduje się przez telefon o uwięzieniu Dyzmy i o mającem nastąpić stawieniu go przed sądem dopiero nazajutrz, a tu statek odchodzi za godzin kilka.

Jakież jego przestępstwo?

Gdy szło o chleb, o ubranie dla Dyzmy, odtrącano go jako odstępcę, jako przeniewiercę. Teraz, gdy wiedzą, a przynajmniej przypuszczają, że musiał zarobić parę groszy u piekarza, przywrócone mu są prawa przynależności do plemienia.

Winien podzielić się zyskiem. A że zmyka, skarb swój unosząc, sadzą go do więzienia.

Lecz Dyzmie do misyi pilno. Zapewnia, że nic nie posiada, pozwala przetrząść ubranie swoje. Znajdują się 4 anasy. Ziomkowie zadowoleni z poszukiwań, w obawie sądu, którego koszta przyszłoby się ponosić, puszczają swą ofiarę. Dyzma dostaje się na statek i nazajutrz przybywa do Dżibuti.

Mówiono mu o chrześcijaninie Somalisie, naczelniku policyi krajowej, żąda więc, by go tam zaprowadzono. Naczelnik, jako człowiek przezorny, zatrzymuje gościa swego w ciągu 24 godzin dla przypatrzenia mu się zbliska i nie widząc w nim nic anormalnego, odsyła do misyi katolickiej.

Wedle mego wyliczenia, dwunastego stanąłem w Dżibuti.

Pierwsza osoba, którą spotykam, to — mój Dyzma na czele batalionu „kulisów" dla przeniesienia moich rzeczy.

Całuje mię w rękę, wydaje rozkazy swym podwładnym i, gdy wszystko ukończone, pędem się oddala.

Po chwili wraca promieniejący z wehikułem, do którego mię zaprasza, biorąc na siebie dostawę bagaży.

I powiedziałby kto, że ci czarni nie umieją zadać szyku!

Ale pocieszcie się, to nie nadługo. W razie, gdy jutro polecę mu ugotować zupę, niech to was nie dziwi, jeżeli masło do jego ust wpadnie, a kawałek łoju, lub świecy naprawi tę pomyłkę!!...

Tenże sam Dyzma gotował mi raz dwa funty ryżu na wieczerzę. Na uczynioną przeze mnie uwagę, że to za wiele, odpowiedział: „Ryż nie daje się ugotować w małej ilości." — Łatwo domyślić się, dlaczego trzeba było porcyi tak wielkiej!

Po kilku dniach, spędzonych w Dżibuti dla załatwienia spraw niektórych, udajemy się na kolej w celu wyjazdu do Urso, gdzie obozuje obecnie misya nasza somalska o 300 kilometrów przeszło od Wybrzeża.

W wagonie wprowadzam Dyzmę do jego przedziału, polecając usilnie, by nie dał się sam okraść i dobrze strzegł moich bagaży.

Lokomotywa nasza, „Nosorożec", świszczy, sapie, rusza z miejsca, wreszcie przebiega w ciągu sześciu godzin 200 kilometrów, poczem — przystanek.

Korzystam z tego, by trochę się posilić i idę do Dyzmy.

Wygląda on na pogrążonego w błogim stanie. Dla zabezpieczenia się od złodziei, ułożył na ziemi bagaże, wyciągając nogi na ławce po angielsku.

Pytam go o wrażenia z podróży:

— Czy co jadłeś?

— Tak, Ojcze.

— A czy masz co jeszcze do jedzenia?

— Mam, Ojcze.

— Czy masz wodę?

— Tyle, ile chcę.

Mam więc pewność, że mój poczciwiec pomyślnie odbywa podróż. Może jeść i pić, ile mu się podoba.

Gdy oddalałem się zadowolony z wyniku mego śledztwa, zbliża się do mnie świadek tej rozmowy, Somalis i pyta: „Ten młody człowiek to *boy* pana?"

— Oczywiście, że mój *boy*.

— A więc ma pan bardzo dobrego *boya*.

* * *

Kończę me opowiadanie tem cennem świadectwem człowieka obcego, że Dyzma jest bardzo dobrym chłopcem.

Tych, co czytać będą te kartki, proszę o gorącą modlitwę, by Dyzma pozostał zawsze dobrym członkiem św. Kościoła, dobrym chrześcijaninem i nie wymykał się już z arki naszej misyi.

To moje jedyne pragnienie.

A jego?

Zapewno oprócz modlitwy o wytrwałość, prosić będzie wkrótce o to, o co ojciec nasz Adam prosił Pana Boga, sądząc, że to uzupełni szczęście jego: o towarzyszkę życia.

W misyi nie potrzebowałby wprawdzie kupować przyszłej małżonki, jeżeli nie będzie w możności jednak zapewnić jej dachu, utrzymania, ubrania, a nawet trochę strojów i wygód, nie znajdzie żony. Bo przypomnijcie sobie jeszcze, że nie widzi on na jedno oko, co musi wynagrodzić w inny sposób. Otóż sza! ale powiedzmy cichutko, że panie somalskie nie tak łatwe! Są one czarne i uważają się za tem piękniejsze, cóż na to poradzić! Sądzą, że słowa: *Nigra sum sed formosa* napisane dla nich.

X. BISKUP GERBOIN.

Telegram z Tabory, z d. 12 lipca, donosi nam o stracie, jaką poniósł Kościół w Afryce w osobie zmarłego Mgra **Franciszka Gerboin,** ze Zgromadzenia OO. Białych, Biskupa tytularnego Tuturbo, Wikaryusza apost. Unyanyembe, w Afryce wschodniej.

Ojciec św. mianował niedawno Sufraganem X. Biskupa Gerboin, z prawem następstwa po nim J. E. Mgra Léonard, który też będzie drugim z kolei Wikaryuszem apostolskim Unyanyembe.

Bóg tak troszczy się o każdego z nas, jakby tylko o niego się troszczył, a o wszystkich tak, jak o każdego z osobna.

(Św. Augustyn).

ODPUST ZUPEŁNY,

którego w sierpniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

dnia *24 sierpnia* w uroczystość św. Bartłomieja Apostoła.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 18 lipca 1912.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.